

Idę, idę. Na uszach, albo w uszach – jak kto woli – sący się nieco zakwaszona muzyka. Ni to smutna, Ni to wesoła – o znamienym tytule *This Mess Im In*. Tyle, że coś za bardzo trzeszczy. Ściągam słuchawki. Galeria handlowa. Przystaję na chwilę, żeby wchłonąć te wszystkie piękne zapachy. Wykwintne perfumy mniej wykwintnych dam, swąd przypalonych kebabów, kruczaki z kejejsi, i odór żulostwa. Po prawej, pani stoi przy punkcie wyrabiania parówek. Za pięć pięćdziesiąt sama parówka, za sześć z keczupem a za ósemkę puszka pepsi do tego. Pani sprzedawczyni patrzy tym władczym wzrokiem na najbardziej perfidną emitancję mięsa, jaką wymyśliła ludzkość. Patrzy bezrefleksyjnie, patrzy dla samego patrzenia. Rozmawia przez telefon i drapie się po nosie. „Wiesz kochanie, myślę, że nasz związek nie ma sensu”.

Aha. Spaceruje sobie dalej. Celem mojej wędrówki jest kerfur. Tam mają takie dobre pizzo-drożdźówki za dwa złote i dziewięć groszy. Na deser chrupki. Do wyboru mam orzechowe i orzechowe. Tylko te są za dziewięćdziesiąt dziewięć groszy. Przeliczam swój majątek i nie mogę się nadziwić. Pomiędzy miliardem przegród, gdzie walały się zużyte bilety, wysupłałem zabląkane, samotne dwa złote. No to bierzemy do tego koleją lajt – będzie na bogato.

Kolejka. Długa kolejka, bo zrobiono ruch taśmowy. Na monitorze mruga drukowanymi literami komunikat, do której klient ma udać się kasy. „Kasa numer dziewięć”, „Kasa numer jeden”. Cała reszta czeka i szura tymi pierdolonymi koszykami po posadzce. Trzymać zakupy w ręce przez dziesięć minut to przecież wyczyn godny Herkulesa a nie zwykłego śmiertelnika. W końcu uprzejma kasjerka mnie kasuje. Ukontentowany pławie się w rozkosznej wizji. Widziałem już oczami wyobraźni swoją ławeczkę w parku. Ale nie. Nie, bo nie. Bip-bip-bip. To znak od niebios, że coś ukradłem. Podbiega do mnie zdyszany ochroniarz z włosami podzielowanymi modnie na pięć lat temu. Jak to, przecież zapłaciłem, czemu tak. On, że nie ma dyskusji, otwieraj pan TĄ TORBE, a jak będę się dalej opierał to wezwie psy. No dobra, niech mu będzie. Ludzie się oczywiście na mnie patrzą jak na studenta, który dorywczo kradnie najtańszy keczup i rolkę papieru. Jestem spokojny, ale coraz bardziej wkurwiony.

– Tutaj, jak pan widzi są prezerwatywy. Odpakowane. Spółkowałem przed chwilą z tamtą piękną, nadmuchaną do granic możliwości kajzerką. Wie pan. Wypatrzyłem na dziale z pieczywem. Od razu mi wpadła w oko i się nawet nie opierała. Miłość od pierwszego wejrzenia za dwadzieścia groszy. A to – pokazuje mu przed twarzą – są papierosy. Wkłada się do ust, odpala i pali. Papierosy są drogie. Ale to moje papierosy są, kupiłem je, kurwa, za ostatnie dwanaście złotych. Rozumiesz?! Co jeszcze? – Zastanawiam się głośno, a mój przeciwnik skamieniał i zrobił się czerwony ja burak. – Książka. Czyta się takie coś, w szkole na przykład, może jeszcze pamiętasz jak składać literki. Eseje Vonneguta. Jest tam napisane bardzo dużo o ludzkiej głupocie. Z kilkoma akapitami mógłbyś się utożsamiać. No a teraz koniec tego przedstawienia głupi chujku. Jak mnie zaraz nie puścisz, to pójdę do kierownika i on spuści ciebie z roboty. Jasne?

Nie czekając na odpowiedź, odszedłem. W końcu dorwałem się do mojej ukochanej pizzy za dwa złote. Nie. Za prosto. Podchodzi staruszka. Drżą jej dłonie, ma spieczone usta od słońca no i patrzy się na mnie. Patrzy. Patrzy. Aż się bałem przełknąć pierwszy kęs. Oddałem jej mój obiad. W końcu zostały mi jeszcze czipsy. Postanowiłem się rekreacyjnie przespacerować chrupiąc zdobyczny smakołyk i wdychając krakowski smog.

Myślałem o zeszłej nocy i o tym jak bardzo chujowa to była noc. Wpadam do niej napalony jak kolu-bryna przed szturmem na Częstochowę, z całym niezbędnym asortymentem w postaci dużej ilości alko-

holu, wagonem prezerwatyw i bardzo dobrym humorem. No i ona zasnęła. A ja zostałem sam na sam z czarną jak dupa nocą i używkami. Poszedłem więc na balkon, i wyłołem pół litra popijając piwem. Opróżniłem jej też całą lodówkę. Taka moja mała zemsta, jakie to, kurwa, bardzo po męsku było! Po kłósie samotnej imprezy objawiło się większym kacem moralnym niż po tym jakbym wyrwał hipopotama na dyskotece.

PI-BIP! Podskoczyłem przestraszony. Taksówkarz. Nienawidzę tych cynicznych gnojków. Szczególnie tych z wąsami, a ten akurat miał i to wyjątkowo ohydne. Śmiał się ze mnie. Nie bardzo wiedziałem, o co mu chodzi i już miałem pokazać uniwersalnego wała, gdy zobaczyłem na ulicy rozsypane chrupki. Moje, kurwa, chrupki orzechowe na bruku! Podchodzę do kierowcy i się go pytam czy nie chce, aby wpierdol, biorę go za fraki... to znaczy tak powinienem zareagować. Tyle, że tak zachowała się tylko moja wyobraźnia.

Chrupki, drożdżówka, pizza. Wszystko przepadło. Nic tylko sobie żyły podciąć. Odpalam przedostatniego papierosa i popijam kolą lajt. Potem podróż pociągiem i jestem u siebie. Na osiedlu. Wchodzę do klatki, a obok, pod ścianą, Boniek wali swoją żoną w mur. To znaczy jej głową w mur. Widząc mnie przestaje na chwilę.

– Cześć młody!
I dalej robi swoje.
A ja idę do siebie.

Ech! Jak to miło codziennie szukać motywacji do współlistnienia w tym wspaniałym miejscu na ziemi. Z niecierpliwością wypatruję kolejnego odcinka. Serio.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Wiktor Orzel, dodano 04.09.2013 16:39

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.